

# Spiskowcy i „Kordian”

Teatr Narodowy uświetnił jubileusz sceny narodowej wystawieniem „Kordiana” Juliusza Słowackiego, w reżyserii Kazimierza Dejmka. Trudno o lepszy wybór repertuarowy. Płonący patriotyzmem, szlachetnie gniewny, bardzo polski i wręcz nieznakomity dramaturgicznie „Kordian” to przecież i część naszej historii, której Teatr Narodowy tyle razy w ciągu swych dzieł dotrzymywał kroku i jedna z tych sztuk z naszej wielkiej klasyki romantycznej, które przede wszystkim powinny tworzyć oblicze sceny narodowej. Jest to wręcz kawał dzieł naszego teatru z jego dągnięciem wspaniałych, osiągniętych w tym utworze, kreacji, zapisanych choćby nazwiskami Węgrzyna, Osterwy i — współcześnie — Łomnickiego. „Kordian” jest wręcz dziełem, które mimo wielkiej inscenizacji Leona Schillera, czeka wciąż na pełne odkrycie i bodaj jedynie, czy przede wszystkim, Dejmek jest w stanie je udziwnić i przekazać w pełnym blasku.

Wypadnie nam, niestety, chyba jeszcze na takie pełne odkrycie sporo czasu poczekać, a jeśli może to się stać, to w każdym razie nie z żadnej okazji jubileuszowej. Wtedy bowiem, jak Dejmekowi, jubileusz narysca szczegółowy, a przesadny pietyzm, każe chować ołówki reżyseraki, przeznaczony do skrótów wtedy przedstawienie kończy się po północy, jak niemal owe znane z legendy teatralnej przedstawienie „Dziadów”, które skłoniło zaniepokojone żony do szukania swych zaginionych w teatrze mężów... przez pelcję.

Pośród cztery godziny trwa ów „Kordian” i już po drugim akcie, kończącym się o jedenastej w nocy, widownia mocno się przereźda, przerażona... ostatnim tramwajem, ostatnim autobusem czy pociągiem i w ogóle nocną komunikacją stołeczną. Szkoda. Wielka szkoda. I dziwne dla czego ów pietyzm u reżysera, który znany jest z odwagi nawet wobec największych świętości klasycznych! Szkoda tym większa, że to przedstawienie — cokolwiek się powie o braku zwartości, o zbyt powolnym, celebrowanym

jubileuszowym rytmem, o nierówności pewnych tu partii, o zamazanej przez brak owej zwartości koncepcji. — Jest przedstawienie, które wystrzela wysoko w górę takimi osiągnięciami, że po to, by iść dalej w inscenizacji „Kordiana”, nie sposób już będzie przejść obok nich obojętnie.

Po pierwsze Ignacy Gogolewski, który swym Kordianem stawia siebie w najwyższym kręgu dotychczasowych wykonawców tej roli, dowodząc raz jeszcze jakim znakomitym, niezwykle dojrzałym i skutkującym nam jeszcze całą galerię kreacji, jest aktorem w naszym teatrze. Po pierwsze również, wraz z Gogolewskim, poezja, która uderza tu w widownię całą swą, zagarniającą wyobraźnię wielkością, melodiocnością i czystością. Ba, a obok Gogolewskiego plasuje się tu jeszcze Holoubek jako dżabeł, Zaczek jako car, Machnowski jako doskonały Książę Konstanty, Krasnowiecki jako ów zimny, realistyczny Prezes odradzający Kordianowi walki w wielkiej scenie spiskowej w podziemiach...

Po drugie — tak jak to Dejmek zamierzył — jest to „Kordian”, który odwołując się do dawnych, starych widowisk patetycznych, eksponujących mundury podchorążackie i biłających w werble, jest „Kordianem” o wiele głębszym, o wiele bogatszym myślowo, o wiele bardziej refleksyjnym. Tak jest poprowadzony i Gogolewski. Jego Kordian to niemal trochę jak Hamlet, rozważający — żyć czy nie żyć i, jak żyć. Jest mniej patetyczny w swoim patriotyzmie, mniej w sposób młodzieńczy deklarujący ten patriotyzm. Waha się, rozważa, jest zagubiony, szuka, by wręcz — po długiej wędrówce po świecie, po gorzkich lekcjach społecznych, po tragicznej lekcji rozwińniętych złudzeń w urzędzie watykańskim, gdzie pada owa „wiara dziecinna”, po różnych, również gorzkich lekcjach miłości — zoskoczyć z owej symbolicznej Mont Blanc z okrzykiem „Polacy” i wybrać życie dla ojczyzny. Koncepcja Dejmka — o ile jakże bardziej współczesna — to koncepcja bohatera, który ma wybierać wśród różnych ras, wśród różnych ludzi, gotowych niemal nazywać go „wariatem” i jest to przy takim ujęciu koncepcja niemal współcześnie polemiczna. Oparta jest głównie na wspomnianej scenie w podziemiach i na scenie, w której Kordian, mając na myśli zrezygnowanych i pogodzonych, wygłasza swoje credo, mówiąc słynne „Nie będę z nimi”.

Po trzecie niektóre sceny, niektóre pomysły i rozwiązania. Scena papieska, scena koronacji Księcia Konstantego, scena w podziemiach, na której padło tyłu reżyserów... Po czwarte urzekającej piękności — kostiumy i dekoracje, które oparte na kilku czarno-białych, ustawionych na scenie, ścianach, dają znakomite efekty teatralne. Po piąte wręcz... I tu już pretensje. O brak zwięzłości zamazującej jasność koncepcji, o pomysły, które są niedokończone, o kilka ról, o brak panowania nad całością.